Rok XXXIII Warszawa, d. 1 Czerwca 1912 r. Nr 22

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

Sprzymierzeńcy.

POWIEŚĆ Z ROKU 1812.

Z. MORAWSKA. (Ciąg dalszy)

Napoleon, nic nie mówiąc, puścił konia.

Olszak pocwałował do swoich.

Cała kawalkata ruszyła dalej.

Olszak nie posiadał się z radości. Serce w nim kołatało.

— Do ostatniej chwili życia będę miał jego oblicze w pamięci... i te oczy, które mnie prześwidrowały do głębi!...— myślał w najwyższem upojeniu.

Jechano tak do południa.

Zmęczone i zgłodzone konie a też i ludzie domagali się wypoczynku.

Nikt wszakże nie śmiał stanąć.

Wreszcie cesarz, jadący wciąż konno, zatrzymał się, dał znak najbliżej będącemu i rzekł:

— Wypoczynek.

W jednej chwili zatrzymał się cały pierścień wielkiego węża.

Dowódcy w ostatnich szeregach mieli nie mało kłopotu, żeby utrzymać w ciszy i należytym porządku tę kilkudziesięciotysięczną rzeszę. Najwięcej zaś szumu robiła ta ogromna ilość ludzi, nie mająca nic wspólnego z wojskowością, a wlokąca się za wojskiem.

Wtem od strony miasta, z pobliskiego lasu, ukazał się oddział dońskich kozaków.

Słońce, rozdarłszy raz mgły czarne, nie tylko świeciło jasnym blaskiem, lecz wprost rzucało gorące, iście letnie promienie.

Po krótkim, skromnym posiłku, Napoleon kazał sobie rozesłać futro i rzucił się z jakiemś rozkosznem uczuciem... Przymknął powieki.

Czy spał?

Nikt nie mógłby stanowczo powiedzieć.

Całe wszakże otoczenie szanowało ten spoczynek, starając się wstrzymywać oddech.

Tylko konie przeżuwając swój skromny, oględnie wymierzony posiłek, mąciły tę uroczystą ciszę rytmicznem chrupaniem owsa.

Otoczenie najjaśniejszego pana używało zasłużonego spoczynku. Wojsko w całym olbrzymim pierścieniu również.

Lecz był to wypoczynek prawdziwie żołnierski, co to okiem się śpi, a uchem czuwa.

Rozprzężenie, jakie owładnęło szeregi w Moskwie, ustąpiło teraz przed żołnierską subordynacją.

Na samą myśl, że tam w oddali czuwa ubóstwiany przez wszystkich władca, każdy się poczuwał aby być gotowym na jego skinienie.

Po niespełna dwugodzinnym spoczynku, zerwał się Napoleon.

Jakby dotknięte iskrą elektryczną, całe jego otoczenie, wszystkie szeregi były odrazu na swojem miejscu.

Ale słońce, rzuciwszy ostatnie swoje blaski, skryło się znów za chmury, a krwawy wczesny zachód zapowiadał noc wietrzną.

Niemniej Napoleon nie wsiadł do idącej karety, lecz jechał konno.

Księżyc, wyłaniający swą pełną, jasną twarz, srebrzył teraz okolicę.

Kraj był piękny, nizinny, porosły gdzieniegdzie lasami.

Napoleon przypatrywał się okolicy, jakby ją chciał zatrzymać w pamięci.

Olszak ze swoją dwudziestką z rozkoszą spotykał ślady obozu.

Śmiało też posuwał się naprzód, wskazując drogę.

Widok władcy, przed którym stał tak blisko, dodał mu odwagi i otuchy.

Zdawało mu się, że przenikliwy blask jego oczu dopomaga mu do dostania się na właściwą drogę.

Trzeci dzień już upływał w tej podróży.

Książę Poniatowski, uwiadomiony o zbliżaniu się Napoleona, wysłał oddział, gwoli lepszego oryentowania się całej armii.

Sam z setką sobie oddanych i resztką przerzedzonych szeregów, zatrzymał się o milę od Małego Jarosławia, otrzymawszy ku temu rozkaz władcy.

Nieprzyjaciela nigdzie nie spotykano. Zdawało się, że okolica ta jest najzupełniej od niego wolna.

Zdawało się, że zajmą Mały Jarosław i po kilkodniowym wypoczynku, po napełnieniu furgonów żywnością, będą mogli posunąć się dalej.

Wtem od strony miasta, z pobliskiego lasu, ukazał się oddział dońskich kozaków.

Przelecieli koło ciągnących szeregów i skierowali się wprost tam, gdzie jechał Napoleon, jakby mieli ku temu najlepsze wskazówki.

Rozpoczęła się walka.

Walka krwawa na śmierć i życie, które każdy chętnie chciał położyć w obronie władcy.

Wtem setka lanc kozackich przedarła się przez gęsty mur rąk i głów ludzkich, otaczających go.

Niejeden został draśnięty.

Nie ustępował wszakże.

Walka wrzała.

Już, już są blisko broniącego się władcy.

Pika kozacka zdarła mu kapelusz. Okrzyk się wzmaga!

Charakterystyczny trójgraniasty kapelusz, powiewający na ostrzu piki, dodaje odwagi kozakom.

Wznoszą się dzikie okrzyki.

— Zwycięstwo!

— Na pohybel!

Chichot sów przeszywa powietrze.

Wtem jenerał Kozietulski odpiera wyciągające się w stronę władcy piki.

Oddział jego wiernie mu dopomaga.

Kozietulski, z przebitem piką kozacką ramieniem, wydaje rozkazy do ostatniej chwili.

Napoleon ocalony.

Chichot i krzyki sów z pobliskiego lasu wzmagają się coraz więcej. Drażni to uszy tych, którzy go jeszcze w Moskwie słyszeli.

Odróżniają ten sam głos, co ich przejmował strachem.

— Spotka nas, z pewnością spotka coś złego! — mówi w duszy Niesiada.

Odpiera jednak cięcia kozackie.

Kozacy w rozsypce uchodzą.

Goni za nimi jenerał Ludwik Pac, sprawiając straszne zniszczenie.

Ale i wśród naszych klęska.

Uchodzących kozaków każdy kto może na

swoją rękę morduje, nie chcąc, żeby zwrócili się, podkradli i potajemnie robili szkody.

Nikt się już nie trzyma szeregów.

Niesiada i Olszak walczą z dziczą.

Złowrogi chichot wciąż im towarzyszy.

— W imię Ojca i Syna — mówi w duchu Olszak.

Ranny w nogę i wysadzony z siodła upada.

Obok niego, przeszyty lancą kozacką, z odrąbaną głową, leży wśród wielu innych Niesiada.

Olszak oblany krwią, chce się dźwignąć. Napróżno.

Zabrano go na furgon lazaretowy, wraz z wieloma innymi.

Ale cóż to wszystko znaczy?

Napoleon ocalony! Siedzi na koniu; chociaż bez kapelusza, z odkrytą głową, dumnie spogląda... Wyprostowany daje rozkazy...

Rozmawia w tej chwili z nadbiegłym księciem Poniatowskim.

Wynikiem tej rozmowy jest rozkaz:

— Ominąć Mały Jarosław, skierować się do Smoleńska!

I zaraz drugi:

— Książę Józef Poniatowski ze swoimi batalionami zasłaniać będzie prawy bok naszej armii!

XVII.

POTWÓR.

Po pięknym słonecznym dniu śnieg nagle sypnął.

Sypał zaś z taką gwałtownością, że cała wlokąca się armia wkrótce była jednym olbrzymim wałem śnieżnym, poruszającym się przy pomocy wewnętrznej, niewidzialnej siły.

Kareta, w której jechał Napoleon, była również poruszającą się zaspą śniegu.

Z zasypanych śniegiem okien nie mógł nic dojrzeć, oprócz gęstych, płatków. Nie można też było dojrzeć, że jechał w kozackiej czapce, którą zastąpił ulubiony swój trójgraniasty kapelusz.

Kapelusz ten był wyginany jego niecierpliwą ręką na wszystkie strony, stosownie do upodobania i potrzeby.

I teraz podniósł machinalnie rękę do wielkiej czapy, a nie znalazłszy ulubionego nakrycia głowy rzekł:

— Diable!

Wstrząsnął się.

— Brrr! śnieg i mróz, to prawdziwi sprzymierzeńcy Rosyi!...

Zimno przejmujące dokuczało wszystkim.

Śnieg przestał padać.

Mróz za to coraz więcej się wzmagał.

Napoleon otulił się futrem.

— Sprzymierzeńcy?... od kogo ja pierwszy raz o nich słyszałem?... — myślał.

— Sprzymierzeńcy... — powtarzał w duchu.

— Tak, tak, to książę Poniatowski jeszcze w Paryżu wyrzekł: „Mróz i głód to najpotężniejsi sprzymierzeńcy Rosyi".

— Przeklęta przepowiednia! Poco on to wyrzekł! — rozmyślał dalej, obwiniając Poniatowskiego.

— Mróz i głód... sprzymierzeńcy... — powtarzał.

— Tak i głód mnie zaczyna dokuczać...—rzekł nagle.

I wyjął suszony owoc, którym miał zawsze przepełnione kieszenie.

A wojsko ciągnęło za nim.

Ciągnęło, odczuwając doskonale silne ramię owych sprzymierzeńców.

Mało kto miał kożuszek, lub choćby grubą derę, dla osłony przeciw groźnemu sprzymierzeńcowi.

Nikt z pewnością suszonych owoców dla chwilowej obrony od drugiego.

Konie wycieńczone długim marszem, źle żywione, ściśnięte w tej chwili mrozem, padały zostawiając jeźdźców na łaskę i niełaskę losu.

Z konnicy robiły się poniewolnie całe szeregi piechoty.

Ludzie byli wytrzymalsi, lub mniej jeszcze zgnębieni.

Postoje były krótkie, pożywienie marne. Dotarto jednak do Smoleńska.

Dowieziono tam rannych, a wśród nich i Olszaka.

Rana w nodze nie uczyniła go kaleką.

Miał poszarpane mięśnie powyżej kolana. Umiejętny doraźny opatrunek, pozwolił mu przetrwać ból i gorączkę. Nie wyniszczone żadną chorobą ciało zabliźniało się łatwo.

Gdy go złożono w Smoleńsku, myślał tylko, jakby jaknajprędzej się wylizać i dostać do obozu uwielbianego przez siebie księcia.

Przychodziły mu też na myśl buty, które udawało mu się ustrzedz od zaguby i był pewien, że upatrzy chwilę, w której będzie mógł je ofiarować księciu.

D. c. n.

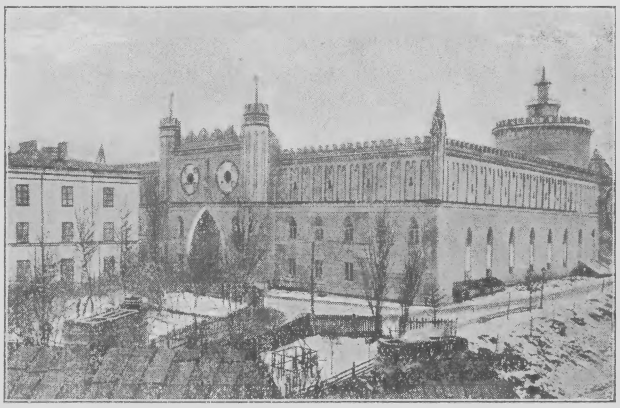

Zamek Królów Polskich w Lublinie

(RYS HISTORYCZNY).

Spójrz po obliczu swojej polskiej ziemi.
Spotkasz się z perły nieocenionemi!...
(M. F. U.)

Nierównie starszym od Warszawy grodem jest Lublin, stąd i liczne pamiątki jego sięgają odleglejszych czasow. Co do samego miasta, to podziś dzień nie zdołano ustalić, kto i kiedy założył je. Różne już oddawna czyniono pod tym względem przypuszczenia. Tak naprzykład niejaki Prokosz, kronikarz X-go wieku naszej ery, to jest po Chrystusie, dowodzi, iż początek Lublina datuje się na tysiąc lat przed przyjściem na świat Zbawiciela, i że twórcą tego grodu miał być niejaki książę Lubin — pan wielce sprawiedliwy i dbały o dobro swego ludu. Po jego śmierci naród podobno usypał przez wdzięczność własnemi rękami to wielkie wzgórze, na jakiem wznosi się Lublin. Znów dwaj nasi kronikarze, Boguchwał i Mateusz, utrzymują, iż założycielką tego miasta była Julia, siostra Juliusza Cezara, cesarza starożytnego Rzymu, którą jakoby Leszek III, król polski, pojąć miał za żonę. Jeszcze inny historyk nasz, Marcin Kromer, twierdzi, że nazwa Lublina zdaje się pochodzić od ryby, a mianowicie od *lina**). Atoli wszystkie te domysły nie posiadają ścisłości i dowodów historycznych. To jedno tylko okazuje się bezsprzecznem, że gród to starożytny, skoro pierwszy książę polski, Mieczysław, czyli Mieszek, już w roku 986 wystawił tu kościół pod wezwaniem św. Mikołaja. Najdawniejsza ta pamiątka w Polsce istnieje do dnia dzisiejszego na wzgórzu, zwanem „Czwartek". Dopiero Bolesław Chrobry w roku 1025 wzniósł zamek, początkowo drewniany, w miejscu do dziś przezeń zajętem. Budowa ta, jakkolwiek z drzewa, dzielnie opierała się różnym najeźdźcom i wogóle nieprzyjaciołom Polski, którzy jej kosztem usiłowali poszerzyć granice swych księstw... Tak w roku 1205, w imię praw kaduka, napróżno przypuszczał szturmy książę Roman Halicki. Aliści, gdy spadły w roku 1241 na Lublin nieprzejrzane hordy mongołów i spaliły miasto, zamek mocno ucierpiał. Łatwo już było zdobyć go Danielowi Halickiemu w r. 1224, następcy wspomnianego księcia Romana.

Zajął on nietylko Lublin z zamkiem, ale i przyległe okolice. Nie na długo jednak, gdyż niebawem został wyparty z miejsc, nieprawnie zajętych. Działo się to za Bolesława Wstydliwego. Przez czas krótkiego władania Lublinem, Daniel Halicki upamiętnił swą bytność w zamku, dodając mu dość wysoką, okrągłą wieżę, a raczej basztę obronną.

Że zaś książęta haliccy napadów nie zaprzestawali, znów przyszło do zaciętej walki w roku 1280 pomiędzy Leszkiem Czarnym a Leonem Halickim, synem Daniela. Naturalnie, waleczny Leszek zwycięsko wyparł natrętnego wroga i wszedł w posiadanie zamku, jako i miasta samego. Nadmienić tu należy, że już za Bolesława Wstydliwego, w r. 1250, zbudowano na Zamku Lubelskim kościół drewniany, pod wezwaniem Ś-tej Trójcy. Do roku 1292, to jest dopóty, dopóki Przemysław, książę poznański i Wacław IV, król czeski, nie wszczęli z sobą walki o tron polski, zażywał Lublin spokoju, co prawda, niepewnego.

Skorzystali z tych zamieszek książęta haliccy i znów owładnęli zamkiem, nie ustępując zeń w ciągu lat dziesięciu, czyli do roku 1302. W tym czasie król czeski, Wacław (od 1300 do 1305 r.), na dobre już gospodarował w Polsce, po ostatecznem objęciu tronu. Za jego to panowania zmuszono nieproszonych książąt halickich do ustąpienia z zamku lubelskiego i wszystkich okolic raz na zawsze! Nadszedł przecież rok 1341, a z nim i hordy tatarów, którzy napadli na Lublin — część miasta zrabowali i zniszczyli ogniem i mieczem, wreszcie oblegli zamek, aby go zdobyć i w perzynę obrócić. Lecz im się to nie udało...

Niespodziewanie, z zastępami rycerstwa pol-

Podwórze zamku.

*) Ostałnie przypuszczenie Kromer opiera zapewne na tem, iż w najstarszej dzielnicy Lublina rzeczywiście znajduje się ulica Rybna, przytem wznosi się miasto nad rzeką.

skiego, zjawił się król Kazimierz Wielki, tatarów sromotnie rozgromił, tak, iż w bitwie poległo ich sześć tysięcy, a reszta ratowała się ucieczką.

Sławny ten monarcha polski, „Odnowicielem" nazwany, podniósł nieszczęśliwy Lublin z upadku, umocnił go gruntownie i na miejscu drewnianego zamku kazał wznieść potężniejszy — murowany, w takiej prawie postaci, w jakiej go dziś oglądamy. W kilkadziesiąt lat później, mianowicie w 1386 roku, najpierw zatrzymał się na zamku lubelskim, znalazłszy się w polskiej ziemi, król Władysław Jagiełło, gdy jechał do Krakowa, aby pojąć Jadwigę za małżonkę i objąć tron Piastów.

W roku 1388 w tymże zamku lubelskim, król Jagiełło daje posłom Rusi Czerwonej (Galicyi) żądane przez nich zobowiązanie piśmienne, zacytowane w historyi następującemi słowy: „nie zbędę nikomu Rusi Czerwonej, lecz ją sobie zostawuję, takoż małżonce swej i dzieciom wraz z Królestwem Polskiem".

Lecz nie koniec jeszcze historyi zamku lubelskiego... Oto w roku 1395 tenże król staje się twórcą murowanej kaplicy na zamku, w miejscu poprzedniej drewnianej, pod takimże wezwaniem Ś-tej Trójcy, i w tej formie, w jakiej ją dzisiaj widzimy.

Gościł też zamek lubelski w swych murach i przybyszów niezwykłych... Tak naprzykład, w r. 1410, po zadanej krzyżakom klęsce pod Grunwaldem, tutaj osadzeni zostali żołdacy niemieccy, wzięci przez hufce polsko-litewskie do niewoli. Tu także raczył Jagiełło gościnnością swą księcia Iwona Hryhorowicza kijowskiego wraz z całą rodziną roku 1420.

Wreszcie spędzał tu święta Wielkiej Nocy w roku 1477 król Kazimierz Jagiellończyk z królową Elżbietą i królewiczami: Kazimierzem i Janem Olbrachtem. A gdy książę mazowiecki, Konrad po śmierci brata Janusza zobowiązywał się być, wiernym sprzymierzeńcem Korony Polskiej po wieczne czasy — na zamku lubelskim tę ugodę w roku 1496 wobec króla Jana Olbrachta zaprzysiągł.

Wspomnieć też trzeba, że Jan Olbracht, syn Kazimierza Jagiellończyka, wraz z swymi braćmi, na zamku lubelskim wychowywali się i uczyli pod kierunkiem słynnych wówczas mężów: Jana Długosza, Kalimacha i Grzegorza z Sanoka.

Bracia Jana Olbrachta, Aleksander, tudzież Zygmunt I, w ciągu kolejnego swego panowania, również zatrzymywali się w tej starej siedzibie królewskiej.

W „złotej epoce" Zygmuntowskiej miał zamek chwilę wysoce krytyczną, która groziła mu zniszczeniem i zagładą zupełną... Podczas wojny z Moskwą i jednocześnie buntu na wołoszczyźnie, skarb polski tak był biedny, iż żołnierze nie mogli doprosić się o należny swój żołd, w sumie 700,000 złotych polskich. Wobec tego uknuli spisek, i postanowili napaść na zamek lubelski i póty więzić króla Zygmunta Augusta, dopóki by nie zapłacił im zaległego żołdu. Na szczęście udało się sprawę załagodzić.

Nie chcąc zbytnio nużyć łaskawych czytelników przewlekaniem przedmiotu, zaznaczymy pokrótce, którzy jeszcze z królów polskich gościli na zamku w Lublinie. A więc: Zygmunt III w r. 1621 w powrotnej drodze z Krakowa; Władysław IV wstąpił tu r. 1634, jadąc ze Lwowa; w 1648 r. Jan Kazimierz serdecznie przez mieszkańców podejmowany po koronacyi, bawił tu cztery tygodnie; król szwedzki Karol Gustaw w r. 1656, zatrzymał się na czas bardzo krótki; Michał Korybut Wiszniowiecki w r. 1671; Jan III Sobieski spędził tu święta Wielkanocne w r. 1678; August II w r. 1703; w końcu Stanisław August Poniatowski w r. 1781, już po pierwszym rozbiorze Polski.

A tak Zamek Lubelski ma swoją wielką historyę, równie tak wielką, jak dobre czyny jego narodu, który ościenne mocarstwa nieraz bronił od zagłady, nie żałując życia ojców, braci, synów, a nawet córek i matek!...

Dziś ten zamek, pamiątka wielkiej chwały, służy za więzienie, a kościół zamkowy, przez dwóch królów wznoszony, stanowi kaplicę dla skazańców. O ile los pomyślny podtrzyma tę cząstkę duchowego skarbu narodu polskiego, może uniknie ruiny...

M. F. Urbański.

O. CONAN DOYLE.*)

ZAGINIONY ŚWIAT

OPOWIEŚĆ O ZDUMIEWAJĄCYCH PRZYGODACH PROFESORA JERZEGO CHALENGERA, LORDA JOHNA ROXTONA, PROFESORA SUMMERLEE I PANA EDWARDA MALONA CZŁONKA REDAKCYI „GAZETY CODZIENNEJ".

PRZEKŁ. Z ANG. M. G.

— Uczyniłbym wszystko, byle zaspokoić twoje pragnienia...

— Ależ nietylko dla zadowolenia mnie! Powinieneś to czynić dla tego, że nie możesz inaczej, że to leży w twoim charakterze, że twoja męska dusza wyrywa się, łaknie bohaterskich czynów... A ty, naprzykład, gdyś opisywał wybuch gazów w kopalni w zeszłym miesiącu! Czy nie mogłeś spuścić się w głąb i ratować odurzonych, nie zważając na niebezpieczeństwo?

— Tak też zrobiłem.

— A nie powiedziałeś mi o tem?

— Bo nie było o czem mówić.

— Nie wiedziałam nic...

Przerwała i popatrzyła na mnie z zajęciem.

— Musiałem tak zrobić. Kto chce napisać dobre sprawozdanie, powinien być naocznym świadkiem roboty.

Podała mi rączkę, a ja schyliłem się i ucałowałem ją z uszanowaniem. Po chwili zaczęła mówić:

— Być może, że jestem niemądra dziewczyna z przewróconą romantycznymi pomysłami głową... A jednak nie mogę nad tem zapanować. Jeżeli pójdę za mąż to tylko za człowieka sławnego.

— Czemu nie?! — zawołałem. — Właśnie takie kobiety jak ty umieją nakłaniać ludzi do bohaterskich czynów... Daj mi tylko sposobność, a przekonasz się, czy nie potrafię z niej skorzystać... Zresztą... masz słuszność... Człowiek powinien sam sobie stworzyć sposobność... Clive był tylko małym urzędniczkiem a podbił Indye! I ja też mogę dokonać wielkiego dzieła na świecie!

Roześmiała się z mojej irlandzkiej zapalności i rzekła:

— Czemu nie? Masz wszystkie warunki po temu: młodość, zdrowie, siłę, energię... Zmartwiłam się, żeś zaczął mówić. A teraz cieszę się z tego nawet, jeżeli takie myśli budzą się w tobie!

— A jeżeli mi się powiedzie?

Zatknęła mi usta swoją aksamitną dłonią...

I tak się to stało, że owego listopadowego wieczora jechałem tramwajem do domu, z sercem rozpłomienionem silnem postanowieniem, że nim dzień następny upłynie, znajdę jakąś sposobność do czynu, godnego pani mego serca. Ale kto byłby w stanie przewidzieć, jak niezwykłą postać ten czyn na siebie przybierze, jak dziwnemi drogami dojdę do jego spełnienia?

I choć ten wstęp może wydać się czytelnikowi zbyteczny, jednak bez niego nie byłoby opowieści, bo tylko wtedy, gdy człowiek ma przed sobą pragnienie bohaterskiego czynu, może się zdecydować na to, co ja uczyniłem: porzucić znajome drogi życia, zapuścić się w tajemnicze mroki, w krainę nadzwyczajnych przygód i... wielkich nagród.

Z tem postanowieniem przestąpiłem tego samego wieczora progi redakcyi „Gazety Codziennej", w której byłem małoznaczącym pionkiem, z postanowieniem niezłomnem uczynienia tego, czego żądała Gladyssa. Byłoż to z jej strony okrucieństwem, samolubstwem, że wymagała odemnie narażania życia dla sławy? Takie przypuszczenie może przyjść na myśl człowiekowi w średnim wieku, ale nie temu, kto ma lat dwadzieścia trzy i jest zakochany pierwszy raz w życiu!

II.

„Sprobuj szczęścia z profesorem".

Lubiłem zawsze pana Mac Ardle, szorstkiego redaktora, starego, z wypukłemi plecami i czerwoną twarzą; a pochlebiałem sobie, że i on mnie lubi. Rozumie się, że główną figurą w piśmie był Beaumont—wydawca, ale ten przebywał na niedostępnych, Olimpijskich wyżynach, z których nie dostrzegał drobniejszych wydarzeń, po za przesileniem gabinetowem i międzynarodowemi zawikłaniami. Widywaliśmy czasem jego majestat, gdy przesuwał się do wyłącznego swego przybytku zapatrzony w dal, duchem obecny na Bałkanach, lub nad zatoką Perską. Majestat ten przebywał po nad nami i po za nami. Ale pierwszym jego pomocnikiem był pan Mac Ardle i my znaliśmy tylko jego.

Staruszek kiwnął mi głową na powitanie i podniósł okulary, nasuwając je wysoko na łyse czoło.

— Z tego co słyszę, panie Malone, wnoszę, że idzie panu niezgorzej — powiedział miłym, szkockim akcentem.

Podziękowałem.

— Wybuch w kopalni udał się doskonale. Pożar w Southwark również. Masz pan żyłkę opisową. Dlaczego chciałeś się ze mną widzieć?

— Chcę poprosić o łaskę.

Zaniepokoił się a jego wzrok zaczął unikać moich oczu.

— Co! co! O co idzie?

— Czy pan nie mógłby mnie wyprawić z jakąś misyą dla dziennika? Postarałbym się spełnić ją jak najlepiej i dać dobry opis...

— O jakiego rodzaju misyi myślałeś pan?

— O takiej, w której są przygody i niebezpieczeństwa. Będę się starał sprawić dobrze. Im trudniejsze będzie zadanie, tem lepiej.

— Pilno panu, jak widzę, pozbyć się życia?

— Nie! Pilno mi spełnić czyny, któreby usprawiedliwiły moje prawo do życia.

— Boże mój! Panie Malone, to wielka, wielka przesada! Sądzę, że minęły już czasy odpowiednie do tego rodzaju przedsięwzięć. Koszta, jakie pociąga za sobą taka „specyalna misya" dla dziennika, nie odpowiadają zwykle otrzymanym wynikom. A w każdym razie, niezbędnym warunkiem jest, ażeby taka wyprawa odbyła się pod przewodnictwem człowieka doświadczonego, którego nazwisko znane, usprawiedliwiłoby wyprawę. Wielkie, puste przestrzenie na mapach,

prędko się zapełniają i nie ma tam już miejsca na romantyczne przygody. Ale... zaczekaj pan!— dodał nagle, uśmiechając się. — Te puste przestrzenie na mapach nasuwają mi myśl... Gdyby tak szło o zdemaskowanie oszustwa, nowożytnego kłamcy w rodzaju Münchhansena, o okrycie go śmiesznością? Dowieść, że jest kłamcą? Człowieku! To by było wdzięczne zadanie! Cóż ty na to?

— Wszędzie... wszystko, co pan rozkaże! Mniejsza o szczegóły...

Pan Mac Ardle zatonął w myślach.

— Zastanawiam się, czy zdołałbyś trafić do ładu, o tyle przynajmniej, żeby doprowadzić do rozmowy z tym człowiekiem? — wyrzekł po długim namyśle. — Zdaje się, że masz specyalny dar do zawiązywania stosunków z ludźmi. Coś sympatycznego jak przypuszczam: siłę magnetyczną, czy żywotność młodzieńczą, czy coś podobnego... Ja sam odczuwam to na sobie.

— Pan jest bardzo dla mnie dobry!

— No! Więc czemubyś nie miał spróbować szczęścia z profesorem Challengerem, z Enmore Parku?

Drgnąłem z zadziwienia i zawołałem:

— Challenger? Profesor Challenger, słynny zoolog! Ten, co to rozbił głowę Blundellowi z „Telegrafu"?

Wydawca uśmiechnął się posępnie.

— Pamiętasz to? Ale przecie sam mówiłeś, że szukasz przygód.

— Wszystko zależy od tego, jakich — odrzekłem.

— Właśnie. Przypuszczam, że on niezawsze bywa tak gwałtowny, jak wtedy. Myślę, że Blundell trafił na złą chwilę, a może wziął się do niego w sposób nieodpowiedni... Może ty będziesz miał więcej szczęścia, albo więcej taktu. A jest tam właśnie coś w tym rodzaju, jak sobie życzysz i „Gazeta" mogłaby wziąć ten interes w swoje ręce...

— Nic rzeczywiście nie wiem o profesorze — powiedziałem po namyśle.— Zapamiętałem tylko jego nazwisko, z procesu o pobicie Blundella.

— Mogę ci dać pewne wskazówki, panie Malone. Bo od niejakiego czasu, mam już profesora na oku...

Wyjął z szuflady papiery i dodał:

— Tu jest streszczenie jego działalności. Powiem ci krótko:

D. c. n.

Aleksander Głowacki (Bolesław Prus).

Polska jednostkami—stoi tak było i tak jest dotychczas.

Jednym z takich potężnych filarów, na których wspiera się gmach społeczny, był Bolesław Prus.

Filar ten runął i sklepienie osłabiło się. Nie runęło ono, bo inne filary stoją, ale Polska okryła się żałobą. Zgasła pochodnia, wskazująca narodowi naszemu drogę do ideału; przestało bić wielkie serce, które ukochało gorąco nietylko naród własny, ale całą ludzkość.

Strata jest wielka, bo Prus należał nie tylko do pierwszorzędnych talentów literackich, ale był do pewnego stopnia nauczycielem narodu — bolał nad jego niedolą, leczył go z wad, prowadzić usiłował na drogę do rozwoju i lepszej przyszłości.

Ostatnie chwile Prusa.

Bolesław Prus chorował już od dłuższego czasu; nikt jednak, mimo nadwerężonego zdrowia, nie spodziewał się tak nagłego zgonu.

Mimo zauważonych przez lekarzy objawów osłabienia, Prus pracy nie przerywał, regularnie i stale przesyłając do redakcyi „Tygodnika Ilustrowanego" swe rękopisy.

Mała, jak się zdawało, dolegliwość, wynikająca z przeziębienia, która powinna przeminąć szybko, zatrzymała Prusa przed 10 dniami w jego mieszkaniu.

Dolegliwość ta dawała się odczuwać dokuczliwie choremu. W ostatnich dniach mówił o śmierci. Oczekiwał jej ze spokojem.

Po nocach nie sypiał. Noc z soboty na niedzielę również spędził bezsennie. Około godz. 4 oświadczył, że mu jest lepiej i wyraził nadzieję, że może mu się uda wyjść z tej choroby.

W półgodziny jednak potem zawołał do małżonki:

— Umieram!

Gdy pani Głowacka podbiegła do łóżka, Bolesław Prus już nie żył.

Śmierć miał lekką.

* * *

Ś. p. Aleksander Głowacki urodził się w Puławach w dniu 8 sierpnia 1747 roku z ojca Antoniego i matki Apolonii z Trębickich. W roku 1863, jako szenastoletni młodzieniec, bierze czynny udział w wypadkach politycznych, otrzymuje ranę w jednej z potyczek. Po ukończeniu gimnazyum lubelskiego, wstępuje w Warszawie do szkoły Głównej na wydział matematyczny.

Pracę literacką ś. p. Głowacki rozpoczął w r. 1872, równocześnie zamieszczając w „Niwie“ artykuł o elektryczności pod własnym nazwiskiem zaś w „Opiekunie domowym“ zaczął drukować „Listy ze starego obozu“, jako Bolesław Prus. Pseudonimem tym następnie posługiwał się stale. I staje się tak popularnym, że liczne rzesze czytajacych nigdy o właściwem nazwisku autora nie wiedziały. W początkach ś. p. Głowacki nie zamierzał poświęcać się pracy literackiej, traktował ją jako zajęcie dorywcze i uboczne, oddając się zajęciom na polu technicznem. W tym celu wstąpił jako robotnik do warsztatów firmy „Lilpop i Rau“, gdzie przebył kilka miesięcy, zapoznając się doskonale z warunkami pracy fiz ycznej.

Aleksander Głowacki (Bolesław Prus)

Dopiero w r. 1873 Głowacki coraz bardziej przechyla się ku literaturze, pisując artykuły wstępne do „Opiekuna Domowego“, jako to: „Nasi robotnicy“, „Pracownie naukowe prywatne“, „O potrzebie gimnastyki“, „W sprawie opuszczonych“ i t. d. Mając silny pociąg do satyry, wstępuje do redakcyi „Muchy“ i obejmuje jej kierownictwo naczelne.

W r. 1874 wszedł do składu współpracowników „Kurjera Warszawskiego i rozpoczął drukować seryę szkiców warszawskich, które już w początkach 1875 r. zmieniły się na „Kronikę tygodniową“. Oryginalna i nowa forma, humor, bystry dar spostrzegawczy, myśl głęboka, społeczna, zjednały tym kronikom olbrzymią poczytność. Rozchwytywała je ludność miejska, czytywała je również czeladź warsztatów, czytali i możni, bo wszystkich one zajmowały.

Oto co powiedział o Prusie profesor Ignacy Matuszewski:

Prus, jako romansopisarz, był nietylko twórcą olbrzymiego szeregu postaci, scen i obrazów, przemawiających do wyobraźni, lecz zarazem był głębokim myślicielem i socyologiem.

Takie dzieła jak „Placówka“, „Lalka“, „Emancypantki“, „Faraon“, oraz wszystkie prawie nowele i obrazki — to nietylko arcydzieła beletrystyki, lecz utwory, pobudzające do wniknięcia w siebie i poruszające cały szereg problematów, dręczących ludzkość od wieków, ze specyalnem uwzględnieniem warunków naszego bytu.

Utwory Prusa są nawskroś polskie, ale dzięki wielkiemu pogłębieniu duchowemu, oraz artyzmowi wykonania, posiadają wartość europejską i, aczkolwiek czytane i cenione, ośmielę się twierdzić, że nie są docenione należycie.

Większą popularność, niż arcydzieła powieściowe, zyskały słynne kroniki Prusa, w których autor poruszał niezliczoną ilość spraw aktualnych i podniecał ogół do czynów, do pracy, do porzucania szkodliwych nałogów i przeżytków, do wytrzymałości, podsycając wśród nas wiarę w lepszą przyszłość. Kroniki te, jak wszystko zresztą co pisał Prus, odznaczały się niezwykłą oryginalnością formy. Pod powłoką właściwego sobie tylko humoru, kryły sią zawsze myśli bardzo poważne: czuć tam było głęboką troskę o losy społeczeństwa, do którego najwybitniejszych synów należał. Obchodziło go wszystko, co mogło podnosić poziom moralny i materyalny narodu.

Najwyższym ideałem, w który wierzył i do którego tęsknił, była miłość powszechna, miłość wszystkich dla wszystkich.

Przejrzyjmy dzieła beletrystyczne i publicystyczne Prusa: znajdziemy niezmierne pragnienie sprawiedliwości, ale nie znajdziemy ani jednego tonu nienawiści.

Podkreślam znamienną cechę, która tak odbija od ogólnego tła dzisiejszej epoki, przesyconej od fundamentu do szczytu miazmatami nienawiści.

Prus wierzył do końca życia w potęgę miłości, wierzyl nieraz wbrew temu, co widział dokoła siebie, gdyż posiadał serce niezdatne do uczuć ujemnych.

Nigdy nie pisał Prus ani kronik, ani powieści swoich na zimno, a chociaż ciągle zalecał trzeźwość, pod piórem Prusa atrament nabierał barwy i ciepła krwi serdecznej.

Literatura i publistyka nie były dla tego wielkiego człowieka, którego dziś ze łzami żegnamy, zawodem, lecz powołaniem, obowiązkiem, misyą.

Pomimo olbrzymiego talentu, Prus nie odzielał sztuki od życia, nie stał się fachowcem, lecz pozostał do śmierci obywatelem kraju. Pisanie powieści sprawiało mu rozkosz, ale sam się tej rozkoszy wyrzekał dla publistyki, mniemając, że, jako publicysta właśnie oddziała bardziej bezpośrednio na społeczeństwo.

To charakteryzuje najlepiej zgasłego przedwcześnie pisarza, który dobrowolnie tłumił bujną bardzo wyobraźnię twórczą, dlatego, żeby spełnić to, co uważał za obowiązek względem ojczyzny.

Na takie poświęcenie nie łatwo zdobywają się artyści i to artyści tak wielkiej miary, jak Prus".

Podajemy niektóre myśli zmarłego pisarza ku nauce młodzieży:

„Należy we wszystkich zamiarach społecznych dążyć do tego, aby naród tworzył całość rozmaitą a zarazem jednolitą, harmonijną, silną i piękną.

Istotna wielkość narodu nie polega na jego wymiarach, sławie, narzuceniu się innym, ale na wynalezieniu i utrzymaniu takiego stanu równowagi społecznej, w którymby istniało najwięcej pracy, szczęścia, doskonałości, wymiany usług a najmniej próżniactwa, cierpień, usiłowań i walk.

My polacy mamy szpetną wadę, z której najprędzej trzeba się wyleczyć: U nas syn i wnuk szlachcica i bogacza wciąż myśli, że ma jakieś specjalne przywileje w społeczeństwie, że ma prawo być bogatym, choćby dokoła niego żyli sami nędzarze. Ten sam błąd tkwi w całem społeczeństwie, które wyobraża sobie, że świat jest jego dłużnikiem i że ponieważ polacy jakiś czas bronili chrześcijaństwa, więc — z tego powodu na wieki wieków muszą posiadać przywileje.

Ocknijcie się ludzie zahypnotyzowani. Na świecie niema żadnego przywileju, a wy tembardziej nie posiadacie żadnego. Światem rządzi prawo, że „najużyteczniejsi i najdoskonalsi przetrwają słabych i niedoskonałych", więc i wy nieustannie musicie starać się o siły i doskonałość. Musicie pracować jak inni, suszyć mózgi jak inni.

Życie to wyścig. Kto choć chwilę zatrzyma się, sądząc, że przeszedł bardzo wiele i że należy mu się wypoczynek, ten zostanie bez miłosierdzia wyścigniętym. Musimy zatem ciągle iść naprzód, nietylko na własnych nogach, bez żadnego podparcia, ale jeszcze musimy dźwigać dodatkowe ciężary. Biada tym, którzy padną zmęczeni! Każdy naród jest Robinzonem na wyspie. Gdy sam nie wyrobi sobie warunków bytu, musi zginąć.

Niepokonana energia w pracy, głęboka mądrość, niezachwiany porządek, oto zalety, które społeczeństwom dają możność potęgowania sił życiowych, dają im prawo do istnienia, czyli — do szczęścia. Świat należy tylko do dzielnych ludzi; dla niedołęgów nie ma na nim miejsca, a gdyby nawet było jeszcze jakie, to wkrótce go zabraknie... Jest już bowiem coraz trudniej nietylko o chleb, ale nawet o powietrze...

Wiem ja, że te słowa brzmią twardo dla ludzi, u których piękny wiersz, albo muzyczna kompozycja znaczy tyle, co wygrana bitwa, a bez porównania więcej, aniżeli porządny sklep lub warsztat. Ale ja nie dla nich piszę te uwagi, nie dla tych, u których największym wynalazkiem jest nowa suknia, najważniejszym aktem społecznym— bal albo wyścigi, a najwyższym celem życia... pozyskanie miłości jakiejś „pięknej i niewinnej dziewicy.

Piszę dla tych, którzy już rozumieją, że naród sam musi budować swoją przyszłość, a tylko szukają najogólniejszego planu tej budowy.

Państwo polskie dla tego upadło, że prawie nie posiadało władzy i jej rozmaitych a potężnych narzędzi; Rosya i Prusy dla tego doszły do dzisiejszego stanowiska, że w ich narodowych masach rozwinął się w najwyższym stopniu instykt poszanowania rządu.

W rozwijaniu władz duszy trzeba zachować jakiś ład, a mianowicie: najusilniej kształcić Wolę, po niej Myśl, a po tej Uczucie. Porządek ten jest szczególniej ważnym dla nas, polaków, którzy dotychczas praktykowaliśmy wprost przeciwny.

„Doskonalcie — Wolę, Myśl, Uczucie, ich materyalne narzędzia; bądźcie użyteczni dla samych siebie, dla swoich i dla obcych, a Szczęście, o ile istnieje na tej ziemi, samo przyjdzie."

Stutysięczny tłum odprowadził zwłoki wielkiego pisarza na miejsce wiecznego spoczynku. Warszawa dała dowód, że w uczczeniu wielkich naszych ludzi potrafi iść razem, jak jeden mąż, bez względu na przekonania.

Prus był jak łza czysty w politycznych sprawach. Dawał się nieraz unosić złudnym dziejom — budował piękne zamki na lodzie; doznawał potem bolesnych zawodów, ale jeśli nawet błądził, to w nadmiarze miłości. Wierzył w sprawiedliwość, w lepszą dolę ludów; nikt, kto go znał, za złe mu tego brać nie mógł. Prus wierzył w to co mówił a dalekim był od tego, co się nazywa politykiem. To też wszyscy rodacy złączyli się w oddaniu mu hołdu.

Cześć zacnej, świetlanej duszy!

W. U.

KRÓLOWA WIOSNA

BAŚŃ FANTASTYCZNA W 2-ch ODSŁONACH.

4 WRÓŻKA. A nikt się nie dowie, że to wróżki wiosenne tak je pięknie przybrały.

WIOSNA. Miłe owady! Jednak nie zawsze ludzie darzą je tylko zachwytem: często przychodzą na brzeg z gęstemi siatkami, chwytają w nie te śliczne, wypieszczone biedactwa na to, aby je wbijać na szpilki i zadawać straszne męczarnie.

3 WRÓŻKA. Jakże mi żal moich wychowańców najmilszych; boję się, aby je co złego nie spotkało na tym wielkim, szerokim świecie.

WIOSNA. Bądźcie uważne, moje maleństwa! Nie zbliżajcie się zanadto do siedzib ludzkich; omijajcie ogniska polne, aby wam gorące płomienie skrzydełek nie opaliły. Strzeżcie się ptaków drapieżnych i sideł zdradnych; bądźcie wesołe i radosne! Omijajcie kwiaty, które sieją woń nadto silną, a pijcie słodycz z bławatków, maków polnych i koniczyny bieluchnej.

1 WRÓŻKA. Niechaj was wichry chłodne nie unoszą w nieznane kraje, gdzie mogłybyście śmierć niechybną znaleźć.

2 WRÓŻKA *(nadsłuchując)*. Baczność, ktoś nadchodzi!

WIOSNA. Dzieci w gąszcz! A wy ukryjcie się dobrze, aby was zawcześnie ludzkie oczy nie ujrzały; inaczej byłybyście zgubione *(karzełki i motyle kryją się z prawej strony, z lewej wchodzi paź)*.

PAŹ. Najjaśniejsza królewno! przywiodłem do twego pałacu rodziców znalezionych dzieci! Rozkaż, a wprowadzę ich natychmiast.

WIOSNA. Niech wejdą! (*Paź wprowadza drwala, gajowego i wyrobnicę*).

WYROBNICA. O, rety! Czary, czy co? Na świecie jeszcze śnieg leży, a tu zielono, jak w lecie. *(Cofają się wszyscy troje)*.

WIOSNA. Nie lękajcie się, dobrzy ludzie, to nie czary, tylko królestwo wiosny i dlatego tak miło tu i zielono.

WSZYSCY TROJE. Dziwy, dziwy...

1 WRÓŻKA. To nasza królowa, a my jej wróżki — wierne służki.

WYROBNICA. Wróżki niby to... *(po chwili dodaje)* czarownice.

WRÓŻKI *(wszystkie razem, śmiejąc się)*. O nie! nie! Jesteśmy dobre boginki, stworzone na to, aby dopomagać innym, a naprawiać wszystko, co złego uczyniła zima.

DRWAL, GAJOWY I WYROBNICA. *(Spoglądają porozumiewawczo na siebie, trącając się łokciami)*.

WIOSNA. Kazałam was wezwać na mój dwór, dobrzy ludzie. Wczoraj służba moja znalazła w głębokich zaspach śnieżnych i ciemnych jarach wasze nawpół zmarznięte dzieci. Przyprowadzono je do mnie, kazałam je ogrzać i napoić, abyście je zdrowemi zastali.

GAJOWY. O moje dzieciska kochane! Myślałem, że ich już moje oczy nie zobaczą!

WYROBNICA. Jedną ino mam dziewczynę, śliczna panienko; obiad uważy, odzienie połata, drzewa nanosi, choć ma dopiero osiem latek. Jedyna to moja pociecha na stare lata.

WIOSNA. Za chwilę oddamy wam dzieci, wesołe i nakarmione. Nie odejdziecie jednak stąd, dopóki nie złożycie nam jednego przyrzeczenia.

DRWAL. O jasna panienko! A toćby człowiek i własnego życia nie pożałował, aby je zobaczyć; toż to nasze najmilsze.

WYROBNICA. Ja chora byłam, panienko, a z łóżka się zwlekłam, aby tylko rychlej przybieżyć.

WIOSNA. A zatem, palce do góry: „Przysięgamy tu obecnej królowej wiośnie, że przed nikim w życiu nie zdradzimy drogi do jej królestwa, ani tego cośmy tu widzieli i słyszeli.

WSZYSCY TROJE. Przysięgamy, przysięgamy!!!

WIOSNA *(klaszcze w ręce, wchodzi paź)*. Wprowadź dzieci.

PAŹ. Według rozkazu, najjaśniejsza królowo! *(wychodzi, za chwilę wprowadza dzieci)*.

WIOSNA. Oto je macie, całe i zdrowe.

WYROBNICA. O! robaczku jedyny!

GAJOWY. Moje świętości kochane!

DRWAL. Dziewczyno serdeczna!

(Chwila milczenia).

WYROBNICA. Jużeśmy za wami oczy wypłakać chcieli.

DRWAL. Tyle radości, miły Boże, a ja myślałem, żeś mi w śniegu zginęła.

GAJOWY. Żywe i rumiane jak jabłuszka! *(Do wiosny)* O, paniusiu kochana! Jakże my mamy dziękować za tyle dobroci. *(Pochylają się do jej kolan)*.

d. n. *Marya Poraska.*

Z pięciu części świata

Filantropia.

Niedawno rozstał się z tym światem w bardzo późnym wieku jeden z najbogatszych ludzi z Chicago dr. Pearson. Cały swój olbrzymi, bo 8 miljonów dolarów wynoszący majątek, przeznaczył za życia na cele dobroczynne. Przedewszystkiem wyposażył zakłady naukowe i wychowawcze, szpitale i ochrony, które egzystowały z miłosierdzia publicznego, pozostawiając sobie procent od małego kapitału, niezbędny na skromne utrzymanie. O działalności swojej Pearson wyrażał się żartobliwie, że przyniosła mu ona więcej zadowolenia, niż innym najwyszukańsze rozrywki. Prawdą jest, iż różni miljarderzy amerykańscy czynią rzekome dobrodziejstwa li tylko, aby rozpędzić trawiącą ich nudę. Oto fakt autentyczny. Pewien bogacz, podróżując po Stanach Południowych, napotkał dwoje murzynów, zamieszkałych w nędznej chacia. Wnet przyszła mu chętka okazania się wspaniałomyślnym. Kazał sprowadzić materjały budowlane, robotników, malarzy i t. d. i w ciągu 2 miesięcy stanął wytworny w pustce leśnej pałacyk, ze wszystkiemi nowoczesnemi urządzeniami. Czy właściciele tej pańskiej rezydencyi nie umarli następnie z głodu? Czy fundator zatroszczył się o nich później? O tem dzienniki amerykańskie milczą. W każdym razie taki czyn do rzędu dziwactw zaliczyć trzeba.

Podczas pogromu żydów w Fezie i Marokku, dzieci żydowskie schroniły się wraz z rodzicami do menażeryi w pałacu sułtańskim. Za kratami dzikie zwierzęta, a przed klatką siedzą dzieci.

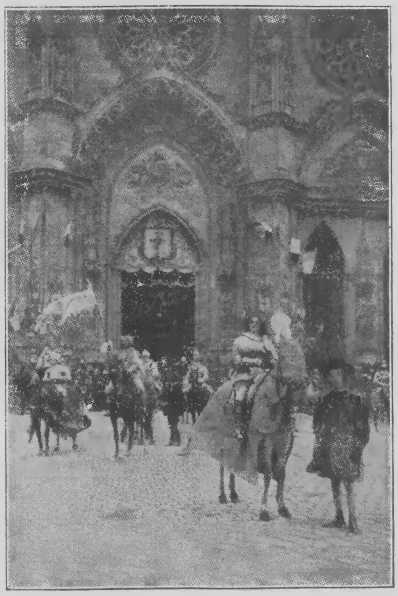

Miasto francuskie, Orleań, obchodziło niedawno uroczyście 500-letnią rocznicę urodzin Joanny d'Arc, która uwolniła Francyę od najazdu angielskiego. Odtworzono starą dzielnicę miasta i urządzono wielki, historyczny pochód. Joanna na czele hufca rycerzy udaje się na zdobycie miasta Tourelle i powrót tryumfalny po zwycięstwie.

Zgony.

W połowie maja zmarł nagle w Hamburgu król duński, Fryderyk VIII. Wracając z Włoch do kraju, rodzina królewska zatrzymała się w Hamburgu dla wypoczynku i w celu zwiedzenia miasta. Po paru dniach pobytu król wyszedł wieczorem na zwykłą, samotną przechadzkę, i tknięty paraliżem zakończył życie, jako człowiek nieznany, prywatny, którym na razie zajęła się policja miejscowa. W kilka godzin dopiero odnaleziono zwłoki króla i zabrano do hotelu, ku wielkiemu przerażeniu najbliższych. Zgasły monarcha, spokrewniony z wielu dworami europejskimi, pozyskał sobie przez ciąg 6-letniego panowania szczere przywiązanie narodu duńskiego; odznaczał się szlachetnemi upodobaniami i prostotą obyczajów. Następstwo tronu przypadło synowi jego, królowi Krystjanowi.

Szwecja straciła znakomitego swego pisarza, Augusta Strindberga. W młodości przechodząc ciężkie niepowodzenie, próbował on różnych zawodów, był nauczycielem, statystą w teatrze, urzędnikiem, na wet malarzem. Wreszcie, oddawszy się wyłącznie literaturze, zdobył imię, które nie tylko we własnej ojczyźnie, ale w całym świecie zasłynęło jako nieporównanego dramaturga i autora wielkich zdolności.

Skuteczny środek.

Jak w Anglii piecza o zdrowotność społeczeństwa, zwłaszcza warstw niższych, gra dużą rolę, dowodzi urządzony niedawno t. z. „Tydzień zdrowia". Aby rozpowszechnić wśród ogółu niezbędne o hygienie domowej wiadomości, odbywały się w całym kraju przez ciąg dni siedmiu odczyty popularne, kazania w setkach kościołów, lub kaplic, szkołach i ochronach. Utworzono 40 komitetów wykonawczych, których członkowie, objechawszy wszystkie większe środowiska, ubogą ludnością przepełnione, nawoływali gorąco do stosowania zasad hygieny w życiu publicznem i prywatnem, udzielali wskazówek matkom rodzin, jak małymi na pozór środkami można uchronić młode pokolenia od kalectwa, chorób, i t. d., uczynić z niego ludzi zdolnych do pracy, silnych i odpornych w walce z przeciwnościami. Zdaje się, iż ta pożyteczna działalność powinna wydać jak najlepsze owoce.

Pogromcy w Fezie. okuci w kajdany oczekują wyroku sądu wojennego.

Wyfrunęła wasza Jaskółka na wieś i chociaż dobrze jej tu w swobodzie pól i lasu, choć małe jaskółątko *Zosia Iskierka,* używa w całej pełni rozkoszy pobytu z kurczątkami, kaczątkami, alboż tylko tyle? *Zosia* ma nawet oswojoną bażancicę i świnkę morską, ma wreszcie ile dusza zapragnie kwiatków, kopie coraz nowe i coraz ładniejsze ogródki, sama wyrzyna szparagi z grzędy...

Ani więc opisać uciech starego ptaka i jego wnuczki, a jednak ptak tęskni do gniazda, które usłał w Warszawie i nie przestaje myśleć o rozrzuconych po świecie kochanych pisklętach.

Myśli zaś zwłaszcza wtedy, kiedy zobaczy coś prawdziwie pięknego, bo chciałby się dzielić z wami każdem dodatniem wrażeniem. A właśnie wczoraj, przeglądając illustrowane francuskie pismo, czytałam opis bohaterskiego czynu dwojga dzieci i opowiem go wam pokrótce.

Działo się to przed rokiem, na brzegach oceanu Antlantyckiego, w miejscowości francuskiej, najbardziej wysuniętej w głąb fal. Biją one o ląd z szaloną siłą i biada łodzi rybackiej, która odważyłaby się na podróż w ciemną noc, noc tę jednak ułatwia żeglarzom latarnia na wieży strzeżona przez czujnego dozorcę.

Błogosławione światło, a jak dowcipnie, jak mądrze obmyślane! Nie świeci jednostajnie, o wcale nie, gdyż nieruchome, podobne byłoby do światła gwiazd, a tu trzeba koniecznie, aby łodzie, których w tem miejscu przepływa bardzo wiele, wiedziały dokładnie, że kierować im się należy według latarni. Latarnia więc obraca się za pomocą zegarowego mechanizmu, a obracając, rzuca jakby pięć odzielnych blasków. Nie będę wam zresztą tłomaczyła mechanizmu latarni morskiej, gdyż jestem pewna, że nasz uczony redaktor, który tak doskonale umie objaśniać tajemnice zegaru świata, nie tylko wie jak trawa rośnie, ale kiedy będzie przyszłe zaćmienie słońca, że zatem pan Umiński wytłomaczy łaskawie, mnie i wam, czego wszyscy nie dość rozumiemy w tem opowiadaniu.

Latarni francuzkiej na brzegach oceanu, strzegł strażnik Matelo; miał on dwoje dzieci, czternastoletnią Marynię i trzynastoleniego Karolka. Otóż zdarzyło się, że strażnik ten zachorował nagle w chwili nakręcania zegara obracającego latarnię. Zachorował, smutno powiedzieć, tak ciężko, że padł na ziemię; padając, zerwał przyrząd regulujący mechanizm. Na wieży strażniczej była wtedy tylko matka, nikogo zresztą, a tymczasem zapadła noc i z nią razem powstała burza. Kiedy pani Matelo, zniosłszy męża do mieszkania, nieprzytomna z rozpaczy, w braku wszelkiej pomocy, sama probowała przywrócić mu życie, Marynia spostrzegła, że latarnia się nie obraca, nie rzuca umówionych świateł, rybakom błądzącym w ciemną noc na morzu!

Spłakana o ojca, zrozumiała jednak, że obowiąskiem jej jest zastąpić go na wieży. Przyrząd był zerwany, ale Marynia wiedziała, że w tym przypadku należy wolno i uważnie popychać rękami zębate koło, do którego przytwierdzona jest latarnia. Zawołała brata na pomoc i biedne dzieciaki spłakane o ojca, wystraszone burzą, która wstrząsała samotną wieżą, wytrwały na stanowisku przez całą noc. Nie opuściły rąk, nie zasnęły ze zmęczenia, nie poddały się rozpaczy i ocaliły od rozbicia statki błądzące w ciemnościach.

Dzielne dzieci godne ojca, który przez całe życie pełnił sumiennie swoje obowiązki, — pisze gazeta, z której czerpię te szczegóły. Powtórzyłam je wam, bo pragnę gorąco, aby polska młodzież umiała wstrzymać wybuchy bólu i zapomnieć o sobie wobec konieczności spełnienia czynu użytecznego, nakazanego im przez poczucie honoru, za siebie i drogiego ojca. To najlepszy sposób uczczenia pamięci rodziców.

Kochana *Samotność* przyklaśnie z pewnością moim słowom, gdyż znalazłam w jej liście kilka zdań świadczących, że rozumie doniosłość spełnienia obowiązku. Ale jest jeszcze jeden obowiązek, *Samotności* droga, obowiązek, strzedz poprawności języka polskiego; dlatego pozwalam sobie przypomnieć ci, że wyraz *korzyść* pisze się przez *rz* a nie *ż*, wyraz zaś *obróci* przez kreskowane *o* nie *u*.

Witaj, kochana *Białorusinko*, jakże dawno cię nie widziałam, nie miałam nawet wiadomości o tobie; minęły lata i moje pisklę wyrosło na poważną studentkę. Stary ptak korzy się przed powagą przyszłej filozofki, bo sam nigdy beretem doktorskim nie ozdobił głowy. Ale tuli cię do serca, drogie pisklę, gdyż pamięta, że sierotą jesteś.

Dobre serduszko masz, *Wiosenny Poranku,* że używając pełną piersią swobody myślisz o dzieciakach wyjeżdżających na kolonie letnie. W tym czasie właśnie wyruszą pierwsze gromadki w świat pól i łąk a pobyt taki zostaje czasem jedynem jasnem wspomnieniem w życiu późniejszej pracownicy. *Halka z nad Teterowa* i *Paskudny Dzieciak* dawno zapomniały o Jaskółce, ja jednak wiernie gonię je dobremi życzeniami.

Jakże ucieszył mnie twój list, *Zwiędły Liściu*, bo to radość prawdziwa wiedzieć, że mamusia wasza uratowana, że *Leśna Smółka* i *Groźna Mścicielka* szczęśliwie kończą egzaminy, radość wreszcie czytać śliczny wierszyk kochanego pisklęcia i módz mu wróżyć prawdziwy talent.

Sarence modrookiej radzę przeczytać „w Pustyni i w Puszczy“ Sienkiewicza. Nie ma tam opisów walk z Indjanami, jest jednak przepiękna opowieść z krainy dzikich plemion. Donieś, *Sarenko*, czy usłuchałaś mojej rady.

Rąbnąłeś *Husarzu* list, ale miał on zawierać szczegółowy opis Saturna, tymczasem ani słowa o ciekawej kopalni nie znalazłam, a o Saturnie planecie też nie piszesz. Więc łamigłówkę oddam redakcyi, ciebie zaś nie zwalniam z obietnicy i proszę donieś, jak wygląda świat podziemny, świat z którego bracia nasi górnicy wydobywają węgiel dla was wszystkich pisklęta drogie i dla waszej

Jaskółki.